24

ROZMAITOSCI WARSZAWSKIE

PISMO DODATKOWE

DO GAZETY KORRESPONDENTA WARSZAWSKIEGO.

We SRODĘ d. 30 Czerwca 1830 *r.*

I.

BANDYTA.

Młody i urodny Antoni, rodem z miasteczka Frozinone, był synem pewnego w temże mieście maiętnego kupca. Oyciec, przeznaczywszy go do stanu duchownego, kazał go iak naystaranniey wychowywać, lecz Antoni lekkomyślny i przyiaciel wesołych towarzystw, nie miał naymnieyszego pociągu do klasztoru, a do iego niechęci przyczyniło się także i to, że się zakochał w córce tamecznego burmistrza, piękney i młodey bo dopiero szesnasto-letniey Rozynie. Oyciec iey maiąc się za nayznakomitszego miasteczka tego mieszkańca, trzymał ią samotnie w wielkiey skromności.

Antoni iednak znalazł sposobność widzenia iey w kościele, a umieiąc grać na gitarze, często pod oknem iey pokoiu, wieczorem przechadzał się, z gitarą w ręku, nucąc piosnki zrozpaczałego kochanka. Nareszcie udało mu się namówić ią do zezwolenia na widzenie się z nim w winnicy iey oyca, gdzie niekiedy chodzić iey było wolno. Antoni spodobał się Rozynie, ale to nie wiele mu się na co przydało, gdyż burmistrz nie dobre miał o nim mniemaanie, a nadto chciał dla córki korzystnieysze znaleść małżeństwo, słowem przyobiecał iey rękę oddać bogatemu dzierzawcy z sąsiedzkiego miasta. Dzień ślubu iuż był wyznaczony, wszelkie więc robiono przygotowania do wesela Rozyny. Antoni widział ią raz w oknie; zdała mu się bydź zasmuconą. To, tak dalece w nim wściekłość oburzyło, że postanowił nie dopuścić, aby związek ten miał bydź do skutku doprowadzonym. Spotkał tego samego ieszcze dnia iey na-

rzeczonego na rynku; nie mógł swoiey wstrzymać złości, powiedział mu kilka wyrazów obraźliwych, tamten cierpliwie obelgi nie zniósł, przyszło do kłótni, Antoni wyimuie sztylet, i przebiia nim serce narzeczonego kochanki swoiey. Po tem morderstwie uciekł do sąsiedzkiego kościoła, lecz nie mogąc dostąpić odpustu, musiał miasto swe rodzinne opuścić.

Około tego czasu, nieiaki Randolf, który od dzieciństwa znał Antoniego, stanął na czele bandy rozbóyników. Dowiedziawszy się o położeniu Antoniego, poszedł potaiemnie do niego, i tak powabnem skreślił swoie powołanie, że namowami zmusił go do przyrzeczenia, iż się pod Randolfa zaciągnie chorągwie. Jednego więc dnia późno w wieczór porzucił swoie miasto, udał się na przeznaczone mu mieysce, złożył przepisaną przysięgę i przyięty był do grona łotrów i bandytów. Odtąd więc tułał się z towarzyszami po górach, a to dzikie awanturnicze życie nie odstraszało go bynaymniey od rozpoczętego rzemiosła. Lecz w krótce odezwała się w nim miłość do Rozyny z nową siłą. Myślał tylko o niey. Banda po nieiakim czasie wróciła znów w okolice Frozinone. Antoni uyrzał zdaleka mieszkanie Rozyny, postanowił, chociażby go to naywięcey kosztować miało, ieszcze raz z nią się widzieć i raz ieszcze rozmawiać.

W tym więc zamiarze namówił dowódcę, ażeby się coraz bardziey zbliżać do Frozinone, znakomitych miasta tego mieszkańców w swoie ręce dostać, i przymusić ich, ażeby się wykupili.— Wieczorem obozowano niedaleko winnicy należącey do oyca Rozyny. Antoni oddalił się potaiemnie i wszedł do winnicy. Zdaleka uyrzał migaiącą się białą suknię. Musiała to bydź Rozyna. Zcicha i ostrożnie przybiega do niey i klęka; odepchnęła go od siebie i głośno krzyczeć poczęła; wstaie, zamyka iey usta swą ręką i zaklina na wszystko, aby milczała. Wyznaie iey potem całą swoią namiętność, przynagla ią aby szła za nim, lecz ta usiłowała wydrzeć się z rąk iego i powietrze głośnym napełniła krzykiem.

Nagle stawaią przed niemi dowódca i inni bandyci. Randolf uznał Rozynę za dobrą zdobycz, i rozkazał ią w góry uprowadzić. Antoni przedstawiał mu, że to iest iego zdobycz, że pierwsze miał do niey prawo i wspomniał o dawnieyszey swey miłości. Odpowiedzią był uśmiech szyderski, i że powinien się zastosować do praw bandy, gdzie los rozstrzyga, komu się zdobycz dostanie.

Antoni prosił więc tylko o pozwolenie odprowadzenia uiętey panny. Przystał na prozbę iego dowódca. Nie zaczepiwszy nikogo zaszli z Rozyną w gór wąwozy.

Antoni często miał zamiar ze sztyletem w ręku utorować sobie drogę wpośród innych, lecz przewidywał, że i siebie i ią na pewnąby przez to śmierć wydał. Rozynę zupełnie bezsilną położono na murawie, a Randolf rozkazał Antoniemu poszukać owcarza, któregoby do oyca iey posłał i pięniędzy za okup żądał.

Co za męczarnia dla Antoniego! zostawić kochankę swą samą w mocy dowódcy. Robił mu przedstawienia przeciw temu poselstwu. Lecz odpowiedzią Randolfa było odwiedzenie kurka u flinty swoiey. Musiał więc słuchać, wściekaiąc się z żalu i zawiści.

Antoni znalazł wkrótce owcarza. Rozyna musiała więc napisać kilka wierszy do oyca, prosząc go, ażeby przysłał 300 skudów na wykupienie iey z rąk tych bezwstydnych łotrów. Owcarza posłano z tym listem.

»Dałeś zły przykład buntu, — rzekł teraz Randolf do Antoniego, — zasłużyłeś, ażebym ci kulą głowę potrzaskał; lecz zbyt wielkim iestem przyiacielem twoim, ażebym ci tego nie miał przebaczyć; co się zaś tyczy panny, z tą według praw naszych postąpić należy. Potrzeba w tey mierze ciągnąć losy!

Antoni odszedł od zmysłów, upadł na ziemię, rwał trawę rękoma, bił głową o ziemię, włosy sobie wyrywał, zgrzytał zębami ze złości i rozpaczy. Ale przyszedłszy znów do siebie, uyrzał nieszczęśliwą ofiarę bladą, roztargane miała włosy i suknią w wielkim nieporządku. Litość przemogła teraz wściekłość iego. Zaniósł ią pod drzewo, przyniósł wina, i w usta iey nalał. Przypatrywał się iey, pomnąc, czem była dawniey, a w iakim teraz zostaie stanie.

Dowódca podeyrzliwy posłał go, aby przeyrzał okolicę nad brzegiem lasu, i czekał powrotu owcarza. Wściekał się ze złości, ale musiał być posłusznym. Wkrótce wrócił też i owcarz. Antoni pospieszył naprzeciw niemu. Oyca Rozyny znalazł był w głębokim pogrążonego smutku, przeczytał list, uspokoił się potem i zimną krwią odpowiedział: »Moia córka została przez tych nędzników zhańbioną, niech ią bez okupu oddadzą, albo niech umrze.„

Antoni zadrżał na tę wiadomość. Według praw tych złoczyńców, każda podobna zdobycz zamordowaną koniecznie bydź była winna, gdyby iey wykupić nie chciano. Tym sposobem mogli sobie tylko zapewnić pieniądze na wykupienie.

Antoni zaprowadził owcarza do Randolfa, a ten powtórzył to, co od oyca Rozyny usłyszał.

Na znak dowódcy wszystkim zrozumiany, oddalili się z mieysca gdzie nieszczęśliwa na wpół umarła leżała.

Tu Randolf wyrzekł iey wyrok śmierci. Wszyscy gotowi byli wypełnić rozkaz iego. W tem wystąpił Antoni, i oświadczył, że lubo nic nie ma przeciw temu wyrokowi do zarzucenia, prosi tylko o to, aby śmierć zadana iey była bez żadnego okrucieństwa, a przez wzgląd na da-

)(

wnieyszą swoią miłość, życzy sobie aby sam wyrok ten okrutny wypełnił. Zamach móy, dodał, będzie tak pewny, iak drugą inną ręką zadany, lecz mniey ostry.

Kilku bandytów podniosło swoy głos przeciwko temu, lecz dowódca nakazał milczenie i rzekł do Antoniego, aby ofiarę tę zaprowadził do gęstwiny, w pewney odległości, a z resztą spuszcza się na iego przyrzeczenie.

Antoni porwał swoią zdobycz i zaniósł do lasu. Była ieszcze w stanie bezczułości i odurzenia. Cieszył się, że go nie poznała, gdyż obawiał się, aby w przedsięwzięciu swem się nie zachwiał. Zasnęła mocno w iego obięciach. Po ciężkiey walce z sobą samym i lękaiąc się, aby kto inny nie nadszedł, i ciosu śmiertelnego kochance nie zadał, położył ią z lekka na ziemi, ażeby się nie przebudziła, uchwycił potem za sztylet i z zimną krwią w pierś iey uderzył!

Bolesny szmer wewnętrzny, bez konwulsyinych iednak poruszeń, towarzyszył iey ostatniemu westchnieniu.

Tak zakończyła nieszczęśliwa krwawa ofiara namiętności młodzieńca, którego zawiść i zazdrość uczyniły naprzód mordercą iey oblubieńca, a potem, gdy się z obywatelskiego towarzystwa sam wykluczyć musiał, stał się iey samey mordercą! Któż więc, zboczywszy raz z drogi prawey, powiedzieć może, gdzie iest iego meta? Lubo politowania godną iest biedna ta młoda panienka, cierpień iey przecież nie można porównać z męczarnią, iaką ten bandyta ponosić musiał, aż go wreszcie Policya doścígła, i wskutku tego został schwytany i na całe życie na galery wskazany.

II.
JASKINIA TYGRYSÓW.

Anglik pewien podróżuiący, opowiada w Britisch Review następuiące okropne zdarzenie:

Nim w lecie roku 1826 opuściłem Peru, umyśliłem w towarzystwie moich przyiacioł Linkolna i Wartona, mego strzelca Franka i dwóch Indyanów, udać się na Chimborasso. Czwartego dnia naszey podróży napadła nas w górzystey dziczyznie straszliwa burza. Uciekliśmy do pobliskiey iaskini. Tak w niey było ciemno, że oddaliwszy się od otworu na kilka kroków, nie mógł ieden drugiego zobaczyć. Gdyśmy o przykrem naszem położeniu rozmawiali, doszedł do nas z głębi otchłani dziwny iakiś głos iękliwy. Warton i ia słuchaliśmy tych głosów z uczuciem trwogi, Linkoln i Frank ciekawością wiedzeni, udali się wzdłuż ściany skalistey w głąb iaskini. Wkrótce powrócili, a każdy z nich przyniósł pstrokate zwierzątko, wielkości kota, którego szczęka uzbroiona była ogromnemi przedniemi zębami. Warton zaledwie spoyrzał na te zwierzątka, zawołał przestraszony: O nieba! iesteśmy w iaskini....! Lecz nagle przerwali mu głos przewodnicy nasi, wołaiąc z przestrachem: Tygrys! i z naywiększą szybkością wdrapali się na nieopodal stoiący cedr, i między gałęźmi drzewa tego się ukryli. Przestrach odurzył nas zupełnie. Warton pierwszy przyszedł do przytomności, i podał radę, ażeby wązki otwór iamy zamknąć zupełnie wielkim w pobliskości leżącym kamieniem. Bez ociągania, wzięliśmy się

do pracy, gdyż iuż usłyszeliśmy okropny głos powracaiącego zwierza drapieżnego. Niebezpieczeństwo podwoiło nasze siły, a wkrótce otwór został zamknięty. Mała iednakże pozostała ieszcze przestrzeń pomiędzy kamieniem a wysokością otworu. Przezeń uyrzeliśmy po kilku minutach głowę tygrysa, iak iskrzące swe oczy ku nam zwracał. Ryk iego odbiiał się o sklepienia iaskini, a młode iego dzieci odpowiadały nań przytłumionym iękiem. Usiłował podnieść kamień łapami, i głową go odrzucić, ale siła iego była w tem niedostateczną.

Frank porwał za swą dubeltówkę, a Linkton za pistolet. Oba razem wystrzelili; lecz nieprzyiaciel został nienaruszonym. Szukam więc torebki z prochem, aż tu z wielkim moim przestrachem, dostrzegłem, że się nim bąwią młode tygrysy, a rozsypawszy cały zapas na wilgotną ziemię, niezdolnym go do użycia uczyniły. Wszyscy więc iuż iakbyśmy zginęli! Frank tak się rozzłościł, że na mieyscu małe zwierzęta pozabiiał, i przez otwór staremu wyrzucił. Ten zobaczywszy, oglądał ie uważnie, i w milczeniu przewracał ze wszystkich stron, a przekonawszy się nareszcie że iuż nie żyią, wydał tak okropny krzyk rozpaczy, żeśmy musieli sobie uszy pozatykać. Wyrzucałem memu strzelcowi niepotrzebne okrucieństwo; ale co się stało, to się odstać nie może.

Burza i grzmoty ustały iuż zupełnie, deszcz nawet zwolniał. Widziałem przez otwór naszey iaskini odżywiaiącą naturę, a sprzeczność tey spokoyney sceny z naszem położeniem, czyniło ie ieszcze okropnieyszem. Tygrys położył się przy swych młodych. Było to zwierzę wielkie i wspaniałe; z iego paszczęki uzbroioney okropnemi zębami, płynęła piana w wielkiey ilości. Nagle dało się zdala słyszeć drugie wycie, na które tygrys iękliwem odpowiedział westchnieniem, a krzyk Indyanów zapowiedział nam nowe niebezpieczeństwo. Nasza obawa potwierdziła się wkrótce, gdyż uyrzeliśmy zwierza podobnego rodzaiu, tylko cokolwiek mnieyszego, niż tamten, i zbliżaiącego się do nas w wielkich skokach. Była to samica! Wycie iey, gdy uyrzała swoie nieżywe młode, przewyższyło wszystko cośmy dotąd słyszeli. A gdy spoyrzała na nas, z tak ogromną siłą uderzyła o kamień, że byłoby się iey udało, odwalić go, gdybyśmy całey naszey nie użyli mocy w odparciu iey usiłowań. Po wielu bezskutecznych doświadczeniach, zbliżyła się znowu do tygrysa. Obadwa spoglądały na siebie przez długi czas, potem oddaliły się szybko, a wycie coraz iuż słabsze do uszu naszych dochodziło.

W tem obadway Indyanie, przewodnicy nasi, pokazali się przy otworze iamy, i nalegali na nas, abyśmy czemprędzey uciekali, gdyż te zwierzęta zapewne znały ieszcze na wysokości góry drugi wchód do iaskini, i z przeciwney strony do niey się dostaną. Połączonemi siłami, odwaliliśmy kamień i poszliśmy spiesznie za naszemi przewodnikami, którzy poboczną udali się ścieszką.

Zaledwie uszliśmy ćwierć mili tey utrudzaiącey drogi, gdy krzyk iednego Indyanina oznaymił nam, że tygrysy idą za naszym

śladem. Byliśmy wtenczas właśnie przy wiszącym moście z trzciny na małey rzece zarzuconym, przez który przecież sam tylko Indyanin lekką swoią mógł przeyść nogą. Między skalistemi górami szumiały w głębi wały z burzliwą mocą. Niebezpieczne było przeyście, ale trzeba się było na nie odważyć, gdyż zwłoka na pewną nas wystawiała zgubę. Przepłynęliśmy wszyscy szczęśliwie, poczem poodrzynaliśmy wiązadła, któremi most do naszego brzegu był przymocowany. Spodziewaliśmy się, że tym sposobem nieprzyiaciołom naszym w ściganiu nas przeszkodzimy. Zaledwie ukończyliśmy naszą robotę, gdy samica nadbiegła i usiłowała od razu rzekę przeskoczyć, lecz nie dokazała swego, gdyż wpadłszy w wodę, nim ieszcze dna dosięgnąć mogła, została na kawałki rozerwaną. Tygrys, tem wcale nie przestraszony, uczynił toż samo, i przeskoczył wprawdzie rzekę, ale przedniemi tylko łapami dosięgnął drugiego brzegu, a wisząc nad przepaścią, napróżno usiłował się utrzymać. Warton przystąpił z odwagą do niego, i wepchnął mu w piersi nóż myśliwski. Srożąc się nad wszelkie opisanie, zebrał zwierz ostatnie siły swoie, oparł się tylnemi łapami o skałę a przedniemi uchwycił Wartona za nogę. Lecz przytomny móy przyiaciel, nie tracił wcale odwagi, lewą ręką uchwycił się pnia drzewa, a prawą wepchnął ieszcze głębiey nóż w piersi zwierzęcia.

Wszystko to było dziełem kilku minut. My wszyscy pobiegliśmy mu na pomoc. Linkoln porwał za flintę Wartona, i tak silnie uderzył tygrysa w głowę kolbą, że zwierzę puściło swą zdobycz i w przepaść wpadło. Lecz nieszczęśliwy młodzieniec nie miał na uwadze siły uderzenia; noga mu się pośliznęła, a nie mogąc się szybko za co utrzymać, wpadł za swoim nieprzyiacielem w głębi przepaści!

Krzyk rozpaczy wydobył się z ust każdego z nas. Gdym przyszedł do siebie z mego odurzenia, Warton okropnie w nogę skaleczony leżał przedemną bez zmysłów prawie, nurzaiąc się w krwi swoiey strumieniach. Indyanie zatamowali mu krew ziołami, lecz biedny móy przyiaciel, został bez zmysłów, lubo mu puls bić nie przestawał. Uplotliśmy nosidło z trzciny i gałęzi, i zanieśliśmy ciężko skaleczonego po trzech godzinach podróży do wioski. Lecz nadaremna iuż była wszelka pomoc, ciągle zostawał w okropnych konwulsyach, niekiedy wymawiał niezrozumiane słowa, aż nareszcie na moiem ręku ostatniego wyzionął ducha.

Taki to był smutny wypadek moiey podróży na Chimborasso!

III.

O UBÓZTWIE W NAYBOGATSZYCH KRAIACH.

(z Gazety Norymbergskiey.)

»Rzeczą iest godną uwagi, mówi Autor, że prawie we wszystkich częściach Europy liczba ubogich powiększa się stopniowo. W naybogatszych i najludnieyszych kraiach, tam gdzie rolnictwo, handel i przemysł, naywiększe uczynił postępy, naywięcey też znaleść można ubogich, co ztąd wynika, że obok naywiększey massy bogactw, nayмniey równy iest ich podział, i że skutkiem znów tego musi bydź koniecznie podwyższenie ceny przedmiotów do głównych

potrzeb człowieka służących. We Francyi na 32 milionach ogulney ludności, nie masz mniey nad 22,500,000 indywiduów, które 5, 6, do 8 soldów (prawie 10, 12, 16, groszy pols:) mogą tylko wydać na dzień. Liczą tam pięć milionów ubogich w nayobszernieyszem znaczeniu tego wyrazu, a trzy miliony takich, którzy nie maią na ieden miesiąc zapewnionego sposobu utrzymania. Chcąc mieć dokładne wyobrażenie o ubóztwie Paryża, który iednak sam opłaca dziesiątą część podatków całego kraiu, dość iest zważyć, że na 25,311 indywiduów zmarłych w roku 1826 w tem mieście, więcey iak trzy piąte ze, szpitalów było wyniesionych na cmentarz. Co do Niderlandów, o wielkości teyże samey plagi można łatwo sądzić ze śródków zaradczych, które przedsięwzięto w celu iey zmnieyszenia. W 1827 r. iczono tam 6445 zakładów dobroczynnych, a w nich znaydowało się 805,000 ludzi wspomaganych w nędzy, na co wydano summę ogulną 10 milionów złotych (złoty holenderski czyni blisko pół pięta złotego na naszą monetę, a zatem wydano 45,000,000 zł. polskich !!). W Anglii naybogatszym kraiu, ubóztwo czyli tak nazwany *pauperyzm* dosięgnął naywyższego stopnia. Wydatki na wsparcie ubogich w przeciągu 80 lat dziesięć razy się powiększyły, co bez żadney wątpliwości przechodzi wzrost stosunkowy handlu, bogactw i ludności kraiowey w tymże samym przeciągu czasu. W samych nawet Niemczech, w kraiu słynącym z naybardziey rozprzestrzenioney równości dobrego bytu mieszkańców klas niższych, w kraiu gdzie naymniey było zawsze i zbytecznych bogactw i zbyteczney nędzy; tam mówię, w ciągu ostatnich lat liczba ubogich bardzo znacznie wzrosła. W części Bawaryi, w Wirtembergu i Hanowerze, zbyt często skargi daią się słyszeć na nadzwyczaynie wielką liczbę emigrantów, którzy nie mogąc z pracy rąk wyżyć, przymuszeni są z familiami całemi przenosić się za granicę (naywięcey do Ameryki). Wiele miast niemieckich, dotąd utrzymuiących swoich ubogich dobrowolnemi tylko ofiarami, zmuszone są teraz ustanawiać na ten cel stałe podatki. W Weymarze wyznaczono fenig od każdego talara z dochodów do kassy wpływaiących. W Darmsztacie mieszkańcy chcąc uniknąć podatku nowego, byli przymuszeni podwyższyć swoie ofiary dobrowolne etc.»

W tych wyrazach Gazety Norymbergskiey iest bez wątpienia wiele prawdy, ale też i zarzucić coś można przeciw nieiednemu iey twierdzeniu. Tworzenie się składek nowych po miastach, stanowienie w tym celu umyślnie podatków, naymnieyszym nie iest dowodem powiększenia się ubóztwa. Owszem to mówić zdaie się za zmnieyszeniem iego. Na zapytanie: kiedy było więcey żebraków w niektórych kraiach niemieckich, teraz czy przed kilku laty? Odpowiemy wspieraiąc się na świadectwie naocznych świadkow, że teraz mniey niż pierwey. Powiadano nam, że W. Xięstwo Hessen-Kasselskie, X. Darmstackie i inne pobrzeża Renu naywięcey liczyły zawsze żebraków, że przed poiazdami padali prosząc podróżnych o wsparcie; a teraz tego mało, a przynaymniey bez porównania mniey, dla tego że miasta i gminy wieyskie zaczynaią wszędzie swoim kosztem utrzymywać ubogich. Powiększyły się tedy wydatki miast i

gmin wieyskich, ale polepszył się stan nay-nieszczęśliwszey klassy mieszkańców. Sądzimy przeto, że Niemcy, tak iak i wszystkie inne kraie Europy, w wieku naszym korzystaiąc z postępu filantropii zwróciły pilnieyszą uwagę na to, co zaniedbały były, i że ztąd wyniknąć koniecznie musiały większe i stalsze wydatki bogatszych ludzi.

Co do emigracyi z Wirtemberga, części Bawaryi i Hanoweru, sprawiedliwe są uwagi autora artykułu, tylko że w tem nie masz nic zastraszaiącego. Zabraniać pośrednio nawet, a choćby uymuiąc darami skłaniać aby nędzarze zostawali w kraiu, iest niegodziwością nam samym szkodliwą: wówczas bowiem, gdy we wszystkich kraiach osoba i własność każdego będą zabezpieczone, i dla kraiu który się pozbędzie uciążliwey sobie ludności, i dla drugiego który w braku ludności zyszcze nowych obywatelów, stanie się bardzo dogodne, a emigrant równie iak nowa i dawna iego oyczyzna, ulgę i polepszenie znaydzie.

IV.

ŻEBRACY w RZYMIE.

Żebracy w Rzymie sprawuią zwykle dwa rzemiosła. Ich właściwością iest nie mieć nic i służyć za model w warsztatach malarskich. Są oni próżniakami, ale nie kradną; bezczelni, dumni z swych łachmanów, maią wszelkie wady wynikaiące z lenistwa, a nie owey czynney i niebezpieczney skrzętności, którey piętno noszą fizyonomie Lazaronów w Neapolu. Natura dała tym żebrakom przymioty, przez które ich postawy są wyniosłe, silne, chód szlachetny, postać rozkazuiąca, i nosząca ieszcze ślady geniusza dawnych Rzymian ich przodków. Pogardzać niemi iest nie podobna, i nie tylko ich cierpią w mieście, ale nawet okazuią im względy na które zasługuie niezawisłość i niejaka wyniosłość. Naczelnikiem iego zacnego zgromadzenia, iest dzisiay Narbone. Artyści wiele mu są winni, on służył za wzór do postawy Sgo. Piotra, Sgo Jakoba, Belizaryusza, Polieukta, Sgo Dominika, J. Cezara, Pelopidasa; przedstawia on historyą powszechną w iey naygłównieyszych ozdobach. Kto patrzy na niego gdy on żąda iałmużny, temu zdaie się, iż widzi osnowę wyciągniętą z dawnych i tegoczesnych roczników. Ma on u wszystkich bardzo dobre imie, i co nie iest rzeczą zwyczayną, należy mu się to istotnie. Jego to głowa iest zupełnie rzymska, pełna energii i szlachetnych rysów, ozdobiona kędzierzawym włosem, czarnym iak heban spadaiącym na ramiona, iego oczy są żywe, piękne i wyrażaiące nieiako siłę i spoczynek nay-strasznieyszych namiętności. Postać iego, iest olbrzymia, a postawa i ułożenie takie iak sobie wyobrażamy Koriolana, i Brutusa. Fizyonomia iego iest dzika, ukłon grzeczny, sposób wyrażenia szlachetny i lakoniczny. Zwykle żebrze, potem kładzie się na słońcu, a gdy mu głód dokuczy, idzie do warsztatu iakiego malarza stać za pięć franków na dzień, potem znowu kładzie się na słońcu, wydaie pieniądze, które nazywa owocem swey pracy; zaczyna żebrać, i wraca dopiero wtedy do swego malarza, gdy mu iuż na wszystkiem zbywać zacznie.